

Pomimo że nie mamy do czynienia z klasycznym opracowaniem naukowym, warto po książkę Ślubowskiego sięgnąć. Można zachęcać do tego nie tylko osoby zainteresowane współczesną Rosją, lecz wszystkich tych, którzy starają się zrozumieć obecną sytuację międzynarodową.

Adam Romejko*

ORCID: 0000-0002-8513-2955

Uniwersytet Gdański

Martyna M. Wojtkowska, *W Nowej Zelandii wschodzi słońce. Wojenna tułaczka polskich dzieci*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2025, ss. 271

Wydarzeniem, które skutkowało wędrówką mas ludzkich w Europie i na świecie była II wojna światowa. Dotyczyło to nie tylko dorosłych, przede wszystkim jeńców wojennych oraz wywiezionych na roboty przymusowe, lecz także dzieci. Wpływ na sytuację polskich dzieci miały wywózki w głąb ZSRR (obszar zbiorczo określany mianem Syberii), które realizowano począwszy od lutego 1940 r. Deportowano wówczas rodziny wojskowych, urzędników państwowych, policjantów, leśników i osadników z terenów wschodnich II Rzeczypospolitej. Przełomem w ich losie był układ Sikorski–Majski z 30 lipca 1941 r., zawarty między Polską a ZSRR. Dzięki niemu znaczna liczba Polaków opuściła miejsce zesłania. Mężczyźni stali się podstawą armii dowodzonej przez gen. Władysława Andersa. W drodze od Iranu towarzyszyły im kobiety oraz dzieci, które stamtąd wysyłano do różnych miejsc na świecie. Najodleglejszym z tych miejsc była Nowa Zelandia, dokąd polskie sieroty w liczbie 733 dotarły 31 października 1944 r. Ponieważ zakwaterowano je w byłym obozie internowania w Pahiatua, do historii przeszły jako *dzieci z Pahiatua*. Kilkudziesięcioosobowa grupa chłopców zamieszkiwała tam do 1949 r. Ich losom poświęcono opracowanie pt. *W Nowej Zelandii wschodzi słońce. Wojenna tułaczka polskich dzieci*, autorstwa dokumentalistki Martyny Wojtkowskiej (1990–)⁸.

Podjęta przez Autorkę tematyka nie jest oryginalna – nie brakuje naukowych i popularnonaukowych opracowań dotyczących dzieci z Pahiatua. Oryginalny jest sposób jej zaprezentowania.

Recenzowana książka składa się z 49 kilkunastonicowych rozdziałów, które mają specyficzną strukturę – relacje Wojtkowskiej dotyczące jej wizyty reporterskiej w Nowej Zelandii przeplatają się ze wspomnieniami bohaterów książki. Wojtkowska odnosi się do tej konstrukcji na ostatnich stronach opracowania. Stwierdza m.in. „Pomysł, by część rozdziałów tej książki napisać wielogłosem, narodził się dzięki mojej współpracy z Laboratorium Reportażu Wydziału Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii Uniwersytetu Warszawskiego – miejscem eksperymentów i poszukiwań dziennikarskich. Dużo czerpałam z koncepcji polifonicznej powieści dokumentalnej Marka Millera, której kluczowym założeniem jest «pisanie głosami bohaterów». Zgodnie z tym podejściem autor tekstu odpowiada za «montaż tekstu» – to on decyduje, kto się wypowiada, w jakiej kolejności, jak obszernie. W efekcie tekst sprawia wrażenie rozmowy, podczas której bohaterowie spotykają się przy jednym stole i każdy wypowiada swoje kwestie. To podejście wymusiło na mnie określone zmiany w stosunku do tekstów źródłowych tak, aby uniknąć powtórzeń, a wypowiedzi pasowały do siebie pod względem składniowo-stylistycznym. Przykładałam szczególną wagę do tego, by fragmenty «wycięte» z kontekstu dłuższej wypowiedzi należycie oddawały sens pierwotny” (s. 261).

Lektura książki *W Nowej Zelandii...* uzasadnia przekonanie, że stwierdzenie o rozmowie przy jednym stole nie jest przesadzone. Czytając ją, można wyobrazić sobie osoby oglądające pamiętki z przeszłości, w tym albumy ze zdjęciami dokumentującymi wędrówkę z ZSRR na ziemię nowozelandzką⁹.

Wojtkowska ma świadomość, że los dzieci z Pahiatua nie jest przypadkiem wyjątkowym. Przy-

* Adam Romejko, dr hab.; profesor w Instytucie Politologii, Wydział Nauk Społecznych, Uniwersytet Gdański; e-mail: adam.romejko@ug.edu.pl.

⁸ Więcej na jej temat zob. *Martyna M. Wojtkowska*, <https://czarne.com.pl/katalog/autorzy/2552> [dostęp: 20.12.2025].

⁹ Wojtkowska podaje, że Polaków osiedlono „...w ZSRR: w obwodach wołogodzkiem, swierdłowskim, omskim, nowosybirskim, mołotowskim, kirowskim, jarosławskim, iwanowskim, irkuckim, gorkowskim, czałowskim, czelabińskim, archangielskim, w Kazachskiej SRR, Baszkirskiej ASRR, Republice Kornii, w Kraju Altajskim i Kraju Krasnojarskim. Najwięcej Polaków wysiadło w obwodzie archangielskim, bo aż 38 622 osoby” (s. 58).

wojuje analogiczne wydarzenia z czasów współczesnych: „W 2023 roku do opuszczenia domu zmuszono 47,2 miliona dzieci, które stanowiły 40 procent wszystkich wysiedlonych” (s. 5). Paralele można dostrzec w sposobie wchodzenia polskich dzieci i młodzieży w nowozelandzkie społeczeństwo. Z analogicznymi motywami mamy do czynienia także w innych państwach, do których przybywali polscy imigranci.

Przygotowując książkę *W Nowej Zelandii...* Wojtkowska przeprowadziła rozmowy z tymi, którzy z Nowej Zelandii wrócili do Polski oraz z tymi, którzy tam pozostali. Utrudnieniem okazały się pandemia COVID-19 oraz związane z nią restrykcje, a także obawy starszych ludzi przed infekcją. Rozmawiała także z ich bliskimi – najczęściej z małżonkami, dziećmi i wnukami. Grupa repatriowanych dzieci liczyła kilkadziesiąt osób. Decyzja o repatriacji związana była najczęściej z faktem, że w Polsce odnalazło się któreś z rodziców dzieci. Mówiąc o repatriacji, należy pamiętać, że chodziło o powrót do Polski, a nie do miejsc pochodzenia, które znalazły się na terenie ZSRR. Spośród dzieci, które powróciły do Polski przywołano historię trojga – Anki, Oleńki i Adama. Proces repatriacji przebiegał powoli. Wynikało to m.in. z tego, że listy z informacjami wędrowały po różnych urzędach, w tym przez Czerwony Krzyż. Wojtkowska stwierdza m.in.: „Od pierwszego listu, który Albina Wawryka wysłała do Nowej Zelandii, do dnia, kiedy jej Oleńka wsiadła na statek powrotny do Polski, minęły prawie dwa lata” (s. 181).

Ostateczna decyzja zapadała w Nowej Zelandii w ramach powołanej na tę okazję przez tamtejszy Sąd Najwyższy Nowej Zelandii Rady Opiekuńczej, której członkami było pięciu Polaków i troje Nowozelandczyków. Warto zauważyć, że przywołując różne instytucje Wojtkowska nie podaje ich oryginalnych nazw, tylko w tłumaczeniu na język polski. Podobnie brakuje też wyjaśnień wtrąconych, m.in. po angielsku i rosyjsku, słów zawartych w wypowiedziach osób, z którymi przeprowadzano wywiady.

Zarysowana w książce dziecięca perspektywa różniła się od tej typowej dla dorosłych, w której było miejsce na intensywne obawy. Wprawdzie dziecięce widzenie było wolne od „przejmowania się”, ale także było naznaczone cierpieniem. Dzieci wspominały nie tylko bliskich, którzy tracili życie, ale także ulubione zwierzęta, przede

wszystkim psy zabijane przez czerwoonoarmistów, zirytowanych ich ujadaniem. W czasie drogi na miejsce zesłania nie było czasu, aby pochować umarłych. Umierały najczęściej małe dzieci i starcy. Po pewnym czasie wielu ludzi zobojętniało na drastyczne formy pochówku. Tłumaczenie było banalne: „Pociąg nie będzie przecież czekał na pochówek. Ciała zostawały na śniegu. (...) Może ktoś je pochował? Może zjadły wilki?” (s. 53).

Po wojnie okazało się, że trauma związana z utratą najbliższych, z cierpieniem i głodem była na tyle silna, że nie podejmowano tematu minionych wydarzeń, szczególnie w rozmowach z dziećmi i wnukami. Ci ostatni wiedzieli, że w sercach rodziców i dziadków była nieprzepracowana rzeczywistość, która nie pozwalała im w pełni doświadczyć wolności.

Jeśli już mówiono o przeszłości, to czyniono to wśród swoich, tj. tych, którzy mieli doświadczenie wywózki na Syberię, a następnie podróży do Nowej Zelandii. Towarzyszyło temu nierzadko licytowanie się, kto cierpiał bardziej, w tym kto bardziej był głodny. Jednym z ważnych powodów unikania rozmów o doświadczeniach syberyjskich była obawa przed niezrozumieniem, a co za tym idzie – dodatkowym cierpieniem. Jedna z rozmówczyń wspominała: „Nowozelandczycy nie potrafią sobie wyobrazić, że tyle tygodni jechało się w tych wagonach. Kiedy słyszą, że nie mieliśmy jedzenia, dziwią się: «Nie mogłaś iść do supermarket?!»” (s. 64).

Dla wywiezionych dzieci punktem odniesienia była utracona Polska. Z jednej strony (już jako dorośli) byli przekonani, że do niej wrócą, z drugiej okazywało się, że była to obietnica bez pokrycia. Niewielu odwiedzało Polskę. Ci, którzy oglądali ją na własne oczy, doświadczały rozczarowania. Spotkania z rodziną były jak kontakt z kimś bliskim i zarazem obcym. Odwiedzane miejsca rodzinne różniły się od tych utrwalonych w dziecięcej pamięci. Nie było to zjawisko odosobnione. To „podwójne wyobcowanie”, które wyraża się w przekonaniu, że nie należy się w pełni do nowej ojczyzny, połączonym z przeświadczeniem, że rozwiązaniem jest powrót do rodzinnych stron, do czego jest się – jak się deklaruje – w każdej chwili gotowym („mit siedzenia na walizkach”). Dotyczy to tych, którzy sami opuścili rodzinne strony, a także w mniejszym stopniu ich dzieci, którym zaszczepiano miłość

do nich poprzez opowiadanie o tym, jakie one są piękne. Motyw idealizowania miejsca pochodzenia to zjawisko o uniwersalnym charakterze, które nie stanowiło wyróżnika dzieci z Pahiatua.

Wojtkowska relacjonuje wspomnienia Adama Manterysa, którego ojciec Stanisław jako dziecko przebywał na zesłaniu. Gdy odwiedził to miejsce, to okazało się odbiegać ono od historii opowiedzianych przez ojca: „Kiedy ojciec opowiadał mu o Syberii, nie mógł sobie wyobrazić tego miejsca. Jak wyglądał obóz pracy? Do czego można porównać baraki, w których mieszkał? Stanisław nie miał zdjęć ani tym bardziej filmów, które mógłby podsunąć najmłodszemu synowi jako podpórkę dla wyobraźni. Rosja dla Adama nie miała kształtów ani kolorów. Nabrała ich dopiero, gdy w ramach podróży po Europie odwiedził ją wraz z żoną. Z Warszawy do Moskwy wylecieli 27 czerwca 2008 roku. ...słuchał o barakach, które stały tu aż do pieriestrojki. Dopiero kiedy Gorbaczow postanowił zatrzeć ślady po niechlubnej przeszłości, baraki rozebrano, a drewno spławiono w dół rzeki do wsi Vaines, gdzie posłużyły do budowy szkoły. (...) W Rosji wszystko wydawało mu się inne niż w opowieściach ojca, ale tak jak on granicę przekraczał z ulgą” (s. 246, 248–249).

Ujawnia się uniwersalny motyw pamięciowej wybiórczości – jedne rzeczy się zapamiętało, innych – nie. Irena Iwan przywołała podróż statkiem po Morzu Kaspijskim z ZSRR do Iranu: „Chciałabym popatrzeć na siebie i zobaczyć, co robiła ta mała dziewczynka, ale to wyblakło i zupełnie zniknęło z mojej pamięci. Nie pamiętam, co zobaczyłam, kiedy dobijaliśmy do brzegu” (s. 99).

Obok przytoczonego wyżej wyobcowania, które jest codziennością wielu imigrantów niezależnie od miejsca i czasu, Wojtkowska przywołuje wyobcowanie w postaci braku jakiegokolwiek wiedzy o pochodzeniu – o matce, ojcu, dacie i miejscu urodzenia. Wspomniano pewnego chłopczyka, który o sobie wiedział tylko, że nazywa się Dzidzius. W konsekwencji wpisywano jego wiek „na oko”, tj. sześć lat. Dwuletnia dziewczynka знаła zaś tylko słowo *matula* i dlatego otrzymała nazwisko Matula.

Z pobytu w Nowej Zelandii związana była ambiwalencja – najpierw dzieci witano bardzo serdecznie, gdy zakończyła się wojna, traktowano je z nieukrywaną niechęcią. Nie było to czymś unikatowym. Podobne doświadczenia mieli Po-

lacy w innych państwach, np. w Wielkiej Brytanii wygłaszano antypolskie hasła, takie jak: „Poles go Home!” („Polacy, wracajcie do domu!”) oraz „Are you still here?” („Jeszcze tu jesteście?”).

Wojtkowska zanotowała, co dzieci Pahiatua wspominały na ten temat. Stanisław Manterys stwierdził: „W miejscach publicznych ganiono nas za mówienie po polsku. Często słyszeliśmy: «Wracaj tam, skąd przyjechałeś» albo «You bloody Pole, speak English!». Dlatego przeżywalimy Nowozelandczyków «szpikami» od «speak»?, czyli «mów». Przeszkadzało im nawet, kiedy w tramwaju rozmawialiśmy po polsku między sobą. «Now you are Kiwis»¹⁰. Ale to była tylko słowna deklaracja, że my jesteśmy teraz Nowozelandczykami, bo tak naprawdę nie traktowali nas jak swoich” (s. 189). Irena Lowe, córka Eugenii Smolnickiej, dodała: „Rodziców krytykowano za posługiwanie się polskim. «Wracaj do domu, przeklęty Polaku!» Nie jesteś Anglosasem, więc jesteś niewłaściwego pochodzenia”. Marek Manterys, syn Stanisława, uzupełnił: „A do tego oczywiście mieli przekonanie, że cechują się dużą tolerancją” (s. 207).

Problemem polskich dzieci i młodzieży było to, że wyróżniały się wyglądem, co wynikało z tego, że nosiły „...bure zlepek z różnych części wojskowej garderoby, ciężkie buty” (s. 191). Przekładało się to na negatywne nastawienie do nich, niekoniecznie zwerbalizowane. Stanisław Manterys tłumaczył: „Nikt ze mnie nie zadrwił prosto w oczy, chociaż spodziewałem się, że już za chwilę stanę się pośmiewiskiem” (s. 191). Rozwiązaniem okazywało się przebywanie wśród innych, również noszących „odzieżowy zlepek”, lub postaranie się o mundurki szkolne noszone przez inne dzieci. Motyw „bycia wśród swoich” pojawiał się wyraźnie w sytuacji wchodzenia w życie dorosłe. Chętnie zawierano związki małżeńskie z tymi, którzy przeszli obóz w Pahiatua. Matrymonialną akceptację można było także znaleźć wśród nie-Anglosasów. Keri-Mei Aniela opowiedziała, jak jej polski dziadek Edward Zagrobelny poznał maoryską babcię: „Ona pracowała w szpitalu jako pielęgniarka, a on w porcie. Nie dziwi się, że wpadł babci w oko. Nosił stylowe okulary

¹⁰ *Kiwi* (w liczbie mnogiej *Kiwis*) to potoczne określenie Nowozelandczyków, które nawiązuje do ptaka o takiej samej nazwie, będącego symbolem Nowej Zelandii. Wojtkowska nie wyjaśnia tego.

przeciwsłoneczne, skórzaną kurtkę i miał motor. Atrakcyjny młody mężczyzna. I choć on z Polski, a ona Maoryska, rozumieli się dobrze. W latach pięćdziesiątych tworzyli jedno środowisko – Maorysi, Polacy, Grecy, Włosi... Różne narodowości, jeden los – mniejszości. Anglosasi traktowali ich z wyższością, wyznaczali standard, do którego należało doskoczyć. Jeśli miałeś inaczej brzmiące imię, obcy akcent, to byłeś przegrany..." (s. 226).

Standard, który nowozelandzcy Anglosasi wyznaczyli opuszczającym Pahiatua, nie odbiegał od tego, który obowiązywał na pozostałych obszarach Wspólnoty Narodów – praca jako robotnik rolny lub fabryczny. Wojtkowska stwierdza: „Z wycieńczeń z 1956 roku wynika, że na uniwersytecie uczyły się trzydzieści trzy osoby, dziesięć dziewczyn i dwudziestu trzech chłopaków, a z całej grupy siedmuset trzydzieścioro trojga dzieci trzy osoby zostały nauczycielami, jedna zaczęła pracę w mediach, a jedna jako architekt. Sześć dziewczyn i jeden chłopak odnaleźli powołanie w Kościele. Jak na obozowy klimat – całkiem niewiele" (s. 215).

Polscy imigranci wiedzieli, że dopiero ich dzieci będą miały możliwość awansu społecznego w Nowej Zelandii poprzez edukację, a przede wszystkim dzięki dobrej znajomości języka angielskiego. Jednocześnie starali się, aby utrzymać zaszczerpioną w nich polskość. Wykorzystano w tym celu narzędzie znane w środowiskach polonijnych, tj. szkołę sobotnią. W 1953 r. ze strony Stowarzyszenia Polaków, które w 1948 r. założono w Wellingtonie, apelowano: „Każde dziecko polskie poza Krajem mówi, myśli, czuje, czyta i pisze po polsku" (s. 198). Ujawniły się podobne trudności, jak w innych miejscach na świecie. Dzieci niezbyt chętnie chodziły do szkół sobotnich. Ich koledzy mogli się w tym czasie bawić, grać w rugby i piłkę nożną, oni zaś musieli siedzieć w szkole, do której nieraz trudno było się dostać. Konieczny był dłuższy marsz, gdyż komunikacja publiczna słabo działała, a niewiele rodzin posiadało samochody.

Przywołano, ile dzieci uczęszczało do szkół sobotnich w Nowej Zelandii. Szkoda, że Wojtkowska nie wskazała, ile dzieci nie korzystało z takiej możliwości. W 1953 r. do polskiej szkoły chodziło 30 uczniów, a w 1958 r. liczba ta wyniosła 108. Odwrócenie trendu wzrostowego nastąpiło w latach 70. – w 1979 r. było 43 uczniów, a w 1980 r. nieco ponad 30. Dyskutowano o wprowadzeniu

obowiązku szkolnego dla dzieci polskiego pochodzenia. Należy to uznać za postulat o marzyielskim charakterze, gdyż sami rodzice nie byli zbyt zainteresowani posyłaniem dzieci do szkół sobotnich, a także niezbyt chętnie partycypowali finansowo w ich utrzymaniu.

Ze stroniemieniem wobec szkół sobotnich wiązało się przekonanie o patriotycznym wychowaniu na najwyższym poziomie. Jan Roy-Woyciechowski, chwalony za to, że dorobił się majątku, w przesadzonym sposób deklarował: „Nie nauczyłem dzieci mówić po polsku i chociaż każde ma polski paszport i każde powie, że czuje się w stu procentach Polakiem, mentalnie to Kiwisi. Wszystko przez to, że ojczyzną zająłem się dopiero na emeryturze. Ale to, jak nas nauczyli wychowawcy w obozie, Bóg, honor, ojczyzna i rodzina, zostało mi na całe życie" (s. 212).

Wprawdzie organizowano festyny połączone ze zbiórką pieniędzy na rzecz szkół sobotnich, nie przynosiło to jednak zamierzonych rezultatów. Ponieważ wyczerpała się też „klasyczna" formuła szkoły sobotniej z lekcjami języka polskiego, polskiej historii i geografii oraz religii, zaproponowano infantylizację w postaci „polskiego folkloru" z *Bolkiem i Lolkiem* oraz *Smokiem Wawelskim*. Przyczyna była prosta – „...znajomość polskiego w przypadku większości uczniów ograniczała się do słów «babcia» i «dziadzio»" (s. 218).

Inną przestrzenią eksponowania tego, co polskie, była kuchnia. Podkreśla się, że polska obyczajowość gastronomiczna budzi uznanie Nowozelandczyków: „Na pierwsze danie jemy rosół, a na drugie kurczaka z ziemniakami i ugotowany brokuł. Stół zastawiony po brzegi. Sałatka jarzynowa, kielbasa, pierogi, na deser jabłecznik (...) lody. Polski stół w Nowej Zelandii". Szczególnie popularne są pierogi. Dzieci pochodzące z rodzin o polskich korzeniach często przynoszą je na aukcje charytatywne organizowane w szkołach „Dolar za sztukę, a idą jak świeże bułeczki. W Wellingtonie ustawiają się po nie kolejki i na godzinę przed zakończeniem imprezy zapas się wyczerpuje" (s. 78).

Obok aktywności organizacyjnej, w tym szkół sobotnich, ważne znaczenie dla życia polonijnego ma obecność duszpasterza-rodaka. Wojtkowska tej kwestii nie poświęca wiele uwagi, nie licząc przywołania ciekawej postaci, którą był ks. Michał Wilniewicz (1912–1997), nazywany przez

dzieci z Pahiatau *księdzem Michasiem*¹¹. To on znajdował się w grupie opiekunów, którzy z polskimi dziećmi przyłączyli się do Nowej Zelandii. Wojtkowska nie odnosi się także do funkcjonowania Polskiej Misji Katolickiej w Australii i Nowej Zelandii. Wspomniany chłopak, który odnalazł powołanie w Kościele, to ks. Bronisław (Brian) Węgrzyn. Pracował duszpastersko wśród Nowozelandczyków, sporadycznie zajmując się rodakami. Nie była to nadzwyczajna sytuacja – duchowni wywodzący się z polskich środowisk emigracyjnych preferują aktywność wśród ludności miejscowej, zaś duchowe potrzeby rodaków zaspokajane są przez księży przybywających z Polski – w przypadku Australii i Nowej Zelandii przez chrystusowców.

Książka Wojtkowskiej została napisana w atrakcyjny sposób, lektura wciąga czytelnika. Uatrakcyjnieniem są zamieszczone zdjęcia, które do dzisiaj przemawiają do umysłów i serc osób zapoznających się z historią dzieci z Pahiatau. Można mieć nadzieję, że spotka się ona z życzliwym przyjęciem.

Pisząc tę recenzję szczególną uwagę zwrócił na zamieszczony pod koniec opracowania komentarz Stanisława Manterysa do jednego ze zdjęć: „Ono pokazuje kilka ważnych rzeczy. Po pierwsze, jak wygląda farma, czyli nowozelandzkie gospodarstwo. Przy ogrodzeniu stoi dwoje dzieci gospodarzy i czterech polskich chłopców. Polscy chłopcy ubrani w zlepek. Z Czerwonego Krzyża, z wojska, z darów. Każdy pies z innej budy. Tak się odróżnialiśmy. *Polish boys*. Polskie obdarciuchy. Ale uwagę zwraca to, że polskie buzie są uśmiechnięte w sposób szczególny” (s. 252).

Adam Romejko*

ORCID: 0000-0002-8513-2955

Uniwersytet Gdański

¹¹ Więcej na jego temat zob. A. Chibowski, *Kapłanka odyseja ks. Michała Wilniewczyca – sybiraka, kapełana w armii gen. Andersa, opiekuna duchowego polskich sierot w Persji i Nowej Zelandii*, Ząbki 2012 (książka dostępna jest także w angielskim tłumaczeniu).

* Adam Romejko, dr hab., profesor w Instytucie Politologii, Wydział Nauk Społecznych, Uniwersytet Gdański; e-mail: adam.romejko@ug.edu.pl.

***Rola administracji publicznej w zarządzaniu rewitalizacją miast. Doświadczenia Polski i Mołdawii*, red. Mariusz W. Sienkiewicz, Katarzyna Kuć-Czajkowska, Wydawnictwo POLIHYMNIA, Lublin–Leova 2022, ss. 189**

Problematyka funkcjonowania jednostek samorządu terytorialnego nie jest zagadnieniem nowym, wręcz przeciwnie – wymaga stałego monitorowania i wprowadzania ich korekt oraz nowych rozwiązań. Jednym ze współczesnych problemów, który dotyczy gmin-miast, są kwestie ich rewitalizacji. Pojęcie to należy rozumieć jako „skoordynowany proces społeczny, inwestycyjny, prowadzący wspólnie przez władzę samorządową, społeczność lokalną i innych uczestników, będących elementem polityki rozwoju mającym na celu przeciwdziałanie skutkom degradacji przestrzeni zurbanizowanej, zjawiskom kryzysowym, pobudzaniu rozwoju i zmian jakościowych przez wzrost aktywności społecznej i gospodarczej, poprawę środowiska zamieszkania oraz ochronę dziedzictwa narodowego i środowiska przyrodniczego, przy zachowaniu zasad zrównoważonego rozwoju” (s. 31).

Po wielu latach „zachłysznięcia” się samorządnością – działaniem lokalności, podejmowano decyzje co do zagospodarowania przestrzennego: przebudowy i rozbudowy infrastruktury użyteczności publicznej, terenów zielonych (a niekiedy nawet ich ograniczania). Skutkiem takich działań okazała się degradacja lokalnych obszarów, problemy gospodarcze, a także zmiany społeczne.

Obecnie władze samorządowe podejmują (z różnym skutkiem) działania zmierzające do odtworzenia przestrzeni – w jej szerokim rozumieniu. Służą temu programy wsparcia, środki finansowe (głównie z programów unijnych) oraz wzajemna współpraca między państwami.

Stąd tak istotne jest, by informować, oceniać stan obecny i zachęcać do podejmowania działań rewitalizacyjnych w gminach. Temu może służyć publikacja pod redakcją naukową Mariusza W. Sienkiewicza i Katarzyny Kuć-Czajkowskiej pt. *Rola administracji publicznej w zarządzaniu rewitalizacją miast. Doświadczenia Polski i Mołdawii*.

Wprowadzeniem do tematyki rewitalizacji jest tekst (w języku angielskim) Kamila Glinki pt. *Urban revitalization? European Parliament towards the Urban Agenda of the EU*. Autor koncentruje się na obowiązujących rozwiązaniach prawnych –